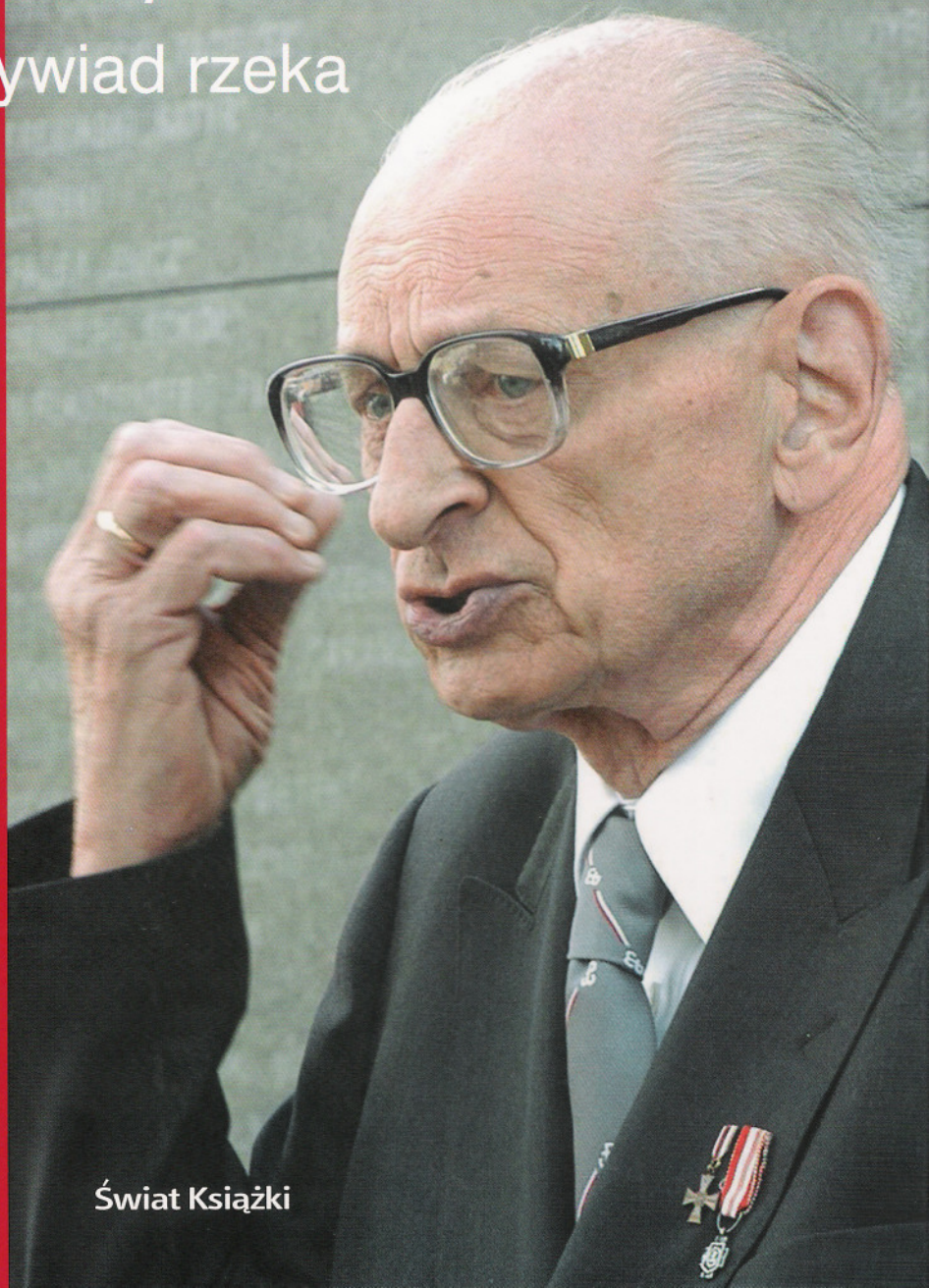


Michał Komar

Władysław Bartoszewski

Wywiad rzeka



AUTORYTETY

Świat Książki

do wiadomości. Wkrótce zabrano go z celi. Kilka dni później wprowadzono młodego człowieka w mundurze oficerskim z odprutymi insygniami. Był to Konrad Dybowski. Pytam: – Pan jest oficerem? – Jestem kapitanem, oficerem politycznym... – Był tu Władysław Dybowski... – To mój ojciec... Rozmawialiśmy ostrożnie, a w końcu Dybowski powiedział, że jest oskarżony o szpiegostwo. – Ale bezpodstawnie? – zapytałem. – Wie pan, to ma związek z Narodowymi Siłami Zbrojnymi i Organizacją Polską... – odpowiedział. Uderzał mnie wielki szacunek Konrada Dybowskiego do ojca, który zresztą był jego podwładnym w siatce.

W sentencji wyroku na Dybowskich jest mowa między innymi o sporządzaniu raportów zawierających dane dotyczące rozstawienia w okolicy Legnicy artylerii przeciwlotniczej i katusz, transportów wojskowych, dyslokacji sztabu marszałka Rokossowskiego oraz o „celowym wstąpieniu przez Władysława Dybowskiego do PPR w charakterze agenta Organizacji Polskiej”.

Obaj zostali skazani na śmierć i rozstrzelani w 1947 roku... W celi znajdował się pan Dziuban, kurier Ministerstwa Spraw Zagranicznych, w moim przekonaniu aresztowany za jakieś przekrety, on zaś twierdził, że padł ofiarą donosów zazdrosnych kolegów. Był pan Ryszard Wygodzki, o dość wyraźnych rysach semickich, pracownik MSZ, on z kolei mówił o intrydze politycznej. Po latach dowiedziałem się od Stanisława Wygodzkiego, że to jego – niestety – daleki kuzyn. Był też łysy, zamknięty w sobie pan, który przedstawił się: – Sosnowski, ichtiolog... Milczący jak ryba. Pracownik naukowy Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego. Okazało się, że jest mężem wspaniałej Haliny Sosnowskiej, która – jako podwładna Wincentego Kwiecińskiego – była szefem jednej z komórek wywiadu WiN. W jej sprawę była z kolei wmieszana Danuta Bańkowska, ale pan Sosnowski nic o tym nie wiedział, a i ja nie byłem skłonny do rozmów w obecności świadków.

Siedział z nami również człowiek, który zadziwiał mnie kulturą, wykwintnym sposobem bycia i dziecięcą naiwnością. Był to pan Ksawery Grocholski, ziemianin, w wieku około czterdziestu lat, rodzony brat Remigiusza Adama Grocholskiego, w 1926 roku adiutanta marszałka Piłsudskiego, w 1943 roku komendanta „Wachlarza”, w czasie powstania komendanta Rejonu Mokotów Dolny. Z rozmów z panem Ksawerym wynikało,

że ma żonę, Niemkę czy Austriaczkę z pochodzenia, i dwoje małych dzieci. Pewnego popołudnia wezwano go na przesłuchanie. Wrócił po kilku godzinach niesłuchanie wzburzony. Tak się składało, że spaliliśmy na jednym sienniku rzuconym na wąskie metalowe łóżko. Przyłgnął mi do ucha i wyszeptał: – Źle ze mną. Pan jest z „Gazety Ludowej” i zna mojego brata... Ktoś o tym musi wiedzieć... Miałem przed chwilą konfrontację... – Z kim? – Z Cavendish-Bentinckiem, ambasadorem Wielkiej Brytanii. Wpadł u mnie w domu. Nie wiedział, że jestem aresztowany... Oni rozebrali piec i znaleźli materiały... – Jakie materiały? – No, te, które mu przekazywałem... – I co mam zrobić? – Kiedy pana wypuszczą, niech pan porozmawia z moją rodziną, ale nie z żoną, bo ona nic z tego nie rozumie... – Sam pan rozmawia – starałem się go pocieszyć. – Boję się, że nie przeżyję... Oni robią ze mnie kolaboranta, bo jako rządcą u Maurycego Potockiego w Jablonnie podejmowałem gestapowców... Odpowiedziałem, że w istocie Potocki gościł gestapowców, przekupywał, załatwiał zwolnienia z Pawiaka. – Ale co ja do tego? – powiedział Grocholski – Byłem rządcą, wykonywałem polecenia, a teraz chcą że mnie zrobić zdrajcę, świnię... Zabrali go po kilku dniach. Wyrok śmierci. Został stracony na Mokotowie w 1947 roku. Po wyjściu z aresztu starałem się przekazać różnym ludziom informacje o ich uwięzionych bliskich. Ostrzeżono mnie, bym nie szukał kontaktu z żoną Grocholskiego, która nie umiając pogodzić się ze śmiercią męża, nie chcąc w to uwierzyć, uwikłała się w jakieś rozmowy z bezpiecznikami. Tragiczna sprawa.

**Ksawery Grocholski został aresztowany razem z Waldemarem Bacza-
kiem... Pan – wpadając w „kociołek” na Bałuckiego – stał się podejrz-
nym w tym samym śledztwie.**

Jeszcze o tym nie wiedziałem... 24 grudnia osadzono mnie w celi w X oddziale więzienia na Rakowieckiej. Przez dwa dni byłem sam. Bez rozmów, bez przesłuchań. Zupa i chleb, które przynosili więźniowie Niemcy. Pomyślałem, że to najpewniej zbrodniarze, których wyluskano z obozów jenieckich. A trzeba powiedzieć, że ci Niemcy odgrywali na Mokotowie dużą rolę. Jeden z nich, doktor Otto – znałem to nazwisko z plakatów okupacyjnych – zajmował się w latach 1946–1948 więźniami politycznymi. Bardzo bym chciał, żeby lekarze-Polacy, którzy tam pracowali, zachowywali się tak przyzwoicie jak on.

Drugiego dnia świąt wepchnięto do celi człowieka... Oslupiałem! To był Jan Zarański, kolega z redakcji „Gazety Ludowej”. Uważałem, że to nie jest przypadek. Chcą podsłuchać naszą rozmowę. Ale Janek mówi: – Słuchaj, to przez pomyłkę, bo jest remont, malują cele... No i następnego dnia zabrano go z krzykiem. Wyglądało więc na to, że nie jakaś tam perfidna akcja, tylko balagan. W czasie świąt Bożego Narodzenia słabnie czujność strażników więziennych na całym świecie... Tak wyglądało, ale wcale nie byłem tego pewien...

Niemniej w ciągu tych dwudziestu czterech godzin zdążyliśmy porozmawiać. Ostrożnie, rzecz jasna, niewinnie. Moja opowieść była prosta, wpadłem w „kociołek” u znajomych, nie wiem, o co chodzi, nie mam nic do powiedzenia. Zarański uważał, że do wyborów mnie nie wypuszczą, a potem z opresji wyciągnie mnie Mikołajczyk, bo przecież PSL ma poparcie społeczne, po wyborach będzie odgrywać ważną rolę w polityce. Tak uważał. Ja z kolei dowiedziałem się, że przesłuchiwał go Róžański w związku z pewną aferą z czasów okupacji. Mianowicie MBP prowadziło dochodzenie w sprawie agentki niemieckiej, agentki chyba raczej Abwehry niż gestapo, Wandy Kronenberg, zepsiałej córki przyzwoitej, patriotycznej rodziny Kronenbergów. Janek Zarański spotykał ją na jakichś zabawach tanecznych, relacje męsko-damskie... I zdaje się, że chciano go tym szantażować. Upatrzyli go sobie, bo jego starszy brat Józef był sekretarzem Mikołajczyka w czasie rozmów w Moskwie, teraz zaś objął kierownictwo polskiej sekcji BBC. Ale wtedy o kulisach sprawy nie było mowy. Natomiast po latach – a przyjaźniłem się z nim aż do jego śmierci – nieraz do tego wracaliśmy. Bo to krótkie spotkanie w celi każało mi się zastanowić, jak daleko pójdzie próba szantażu i jakie będą jej skutki. Późniejsze zachowanie Zarańskiego wskazywało, że człowiek uczciwy, prawy, nie dał się wykorzystać. Pracował potem na podrzędnych stanowiskach w Zachodniej Agencji Prasowej, w jakichś małych pismach katolickich, tłumaczył z niemieckiego i włoskiego, wreszcie w latach siedemdziesiątych został redaktorem niemieckiego wydania „Życia Warszawy”. Był chory na astmę, umarł przedwcześnie.

Jak długo siedział pan w pojedynczej celi?

Najwyżej dwa dni. Posadzono mnie z inżynierem leśnikiem Witoldem Borowskim, oficerem rezerwy, nadleśniczym z Goldapi, przywiezionym do